

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY.

Kolumb natychmiast pospieszył na pokład. Domniemanie Bartłomieja, nie było bezpodstawne. Już od kilku godzin gromadziły się na widnokrepu powłoki i groźne chmury. Stawało się coraz ciszej i ciszej; powietrze było duszne i parne. Straskany Bartłomiej zwrócił się do Kolumba i rzekł: „Za godzinę nadejdzie burza!”

Sędziwy bohater spoglądał z niezmierną boleścią na stary, słaby statek i na swoich ludzi, którzy zmęczeni, odpoczywali na pokładzie.

„Bobidła znajduje się na pełnym morzu”, rzekł z cicha, „może Owandoni będzie miłosierdzijem od niego i pozwoli nam do portu zawinąć, aby nas od rozbicia ocalić!”

I kazał nawrócić do portu. Lecz gdy tam zmieniony kierunek statku spostrzeżono, wywieszono natychmiast chorągiew i zaczęto ostrzeliwać statek Kolumba.

„Panie morza i burzy, zawołał Kolumb i podnosząc ręce ku niebu, padł na kolana i błagał: „Wszelką nadzieję pokładamy w Tobie; bądź Ty naszym puklerzem, naszą obroną, ratuj nas, Panie, nie opuszczaj nas!”

„Nie zginiemy”, odezwał się potem sędziwy bohater do swoich ludzi z niewzruszoną ufnością i spokojem; kierujcie statek na północny wschód, im dalej od wybrzeża, tym lepiej; tam hel! na pełne morze; spieszcie się, bo każda chwila droga!”

Majtkowie wykonali rozkaz. Powstający wiatr, dał całą siłą w żagle i parł statek na otwarte morze. Nie mogli już dojrzeć lądu; na około nich, jak daleko oko sięgnąć mogło, rozpościerały się fale morskie, ponad nimi przetrzyły się złowrogie chmury. Wiatr wzbierał w siłę.

„Wszystkie żagle ściągnąć!” zakomenderował Bartłomiej.

„Liny podwójcie i trzymajcie się zdala od głównego masztu, gdy się błyskać rozpocznie!” rozkazał Kolumb, który teraz swoją siłą i energją odzyskał.

Niebo zaczęło się nagle na południu - zachodzie i ciemność ta rozszerzyła się z wielką szybkością. Ciężka grobowa zapanowała. Nadeszła burza. Morze przemieniło się w pół minuty w zamęt pieniających się bałwanów, które z straszliwą szybkością przetrzyły się wysoko jak wieża i równie prędko spadały, sycząc jak ogniste węże. Wśród ciemności rozlegały się zgiełk, syk, wycie, trzask, huk, łoskot nie do opisanie. Morze rzucało bezbronnym statkiem jak orzechową lupinę.

„Boże co widzę!” zawołał nagle pżerażony Kolumb, tułac śmiertelnie bladego syna swego Ferdynanda do siebie w chwili, gdy cały snop błyskawicy upadł przed statkiem w morze, tworząc w bałwanach niezmierną przepaść. Był to tak zwany huragan wirkowy, dotąd Kolumbowi nieznan. Po sto i więcej błyskawic uderzało równocześnie w maszty, góry bałwanów zalewały pokład, tak, że wszyscy myśleli, iż utoną niechybnie w głębokości oceanu. Lecz statek, się podnosił i pędził lotem błyskawicy na rozchukanych falach.

„Długo już nie potrwa, westchnął Kolumb. „Panie Twoja wola niech się stanie!”

Dziesięć zwyczajnych acz ciężkich szturmów razem wzięwszy nie szaleje tak wściekle jak ten huragan podzwrotnikowy, zwykle cyklonem zwany.

Kolumb nie stracił ani na chwilę odwagi i przytomności. Dusza jego była wolna od winy i ciężkiego grzechu; sumienie miał czyste, bo wszystko, co w życiu był przedsięwziął, chciał przeprowadzić na większą chwałę boską; więc poddał się woli bożej i modlił się rzewnie.

„Hej — ho, statek!” zawołał nagle Bartłomiej — wielkim głosem. W tym samym okamgnieniu rozległ się straszny grom; błyskawica oświetliła niebo i morze stało się jasne jak w słoneczny dzień. W oddaleniu tysiąca stóp pięć statków staczało straszną walkę z morzem. Kolumb rozpoznał wszystkie; były to statki Bobidli. Trzask, huk i łoskot rozległ się po niezmiernym przestrzeni, morze rozstąpiło się, tworząc olbrzymią przepaść.

„Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!” modlił się Kolumb i zapewne każdy z jego ludzi. Widzieli śmierć przed oczami.

Drugi straszniejszy grom nastąpił; jaskrawsza jeszcze błyskawica zaświeciła, zdawało się, że morze i niebo płoną niezmiernym pożarem! Kolumb zdrzął. Pięć statków, które w poprzednim okamgnieniu był widział, znikły bez śladu; Bobidła zginął z towarzyszami w przepaści morskiej.

Tak zginął człowiek, który krótko przed tem powiedział: „Ja jestem obecnie panem morza!”

Szturm zwalniał, wieczór zapadał. Kolumb trzął długo na miejscu nieszczęścia, chcąc nieść pomoc rozbitkom, lecz daremnie.

Belki, deski i różne inne przedmioty kołowały się na spokojnym już morzu, z ludzi nie było śladu. Wszyscy spoczywali w głębokości morskiej.

„Bóg oszczędził”, rzekł Kolumb pełen godności i powagi do swoich ludzi: „On nas ocalił w tej naszej orzechowej lupinie, a mocny, wielki i bogaty statek admirałski zdruzgotał; On nas dalej poprowadzi.”

Zmienili kierunek na zachód i tym sposobem Kolumb stanął po raz pierwszy na właściwym lądzie Nowego Świata, gdyż dotąd był odkrył tylko wyspy.

Tak Pan Bóg zrzucił, iż pokorny Kolumb doszedł do nowych zaszczytów i nowej sławy; dumne go i zrozumiatego Bobidła za to stracił w przepaść i osądził na wieczną zglubę.

Krótko potem odkrył Waragwę, „kraj złota”. Gdyby Kolumb był znalazł przytułek w porcie — św. Dominika, byłby zginął niechybnie, bo huragan rzucił prawie wszystkie statki, znajdujące się w porcie, na wybrzeże i rozbił o skały; w miesiąc samemu zginęło dużo ludzi.

„Przypominasz sobie jeszcze urągające słowa Bobidli: „Szczęśliwej podróży, szczęśliwego wyładowania?” zapytał starszy majtek Kolumba swego towarzysza, leżącego wygodnie w słońcu na wybrzeżu „Kraju złota”.

„Tak, ale spamiętałem odpowiedź naszego admirała, który rzekł:

„Do mnie zemsta należy, mówi Pan!”

„Słowa te sprawdziły się strasznie. Bobidła i towarzysze jego spoczywają na dnie morza, a my odkryliśmy „Kraj złota”.

„Nie przechwalajmy się”, odezwał się Kolumb: „Bogu jedynie niech będzie chwała, Panu burzy i morza!”

Ze świata katolickiego.

Niezwykłe uleczenie w Częstochowie.

Czesława Kozłowska, lat 14, zamieszkała w Trokach, par. Naruszewo, diec. Plockiej, miała od lat dziecięcych — jak stwierdza lekarz dr. Zdzisław Sokółski w znacznym stopniu przyłepiony słuch, spowodowany niezłym bębunków Eustachjusza. Na Zielone Świątki r. b. wybrała się mała Chesia wraz z matką do Częstochowy i tam, po żarliwej modlitwie, odcyskała — jak znów stwierdza dr. Sokółski — zupełnie dobrą i normalną zdolność słyszenia.

Niedziela piąta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Piotra Apostoła, rozdział III., w 8—15.

Najmilsi! Wszyscy jednomyślnie w modlitwie wzywacie współcierpiaców, braterstwa miłośnicy, miłosierni, skromni, pokorni, nie oddawając złego za złe, ani złorzeczenia za złorzeczenie; lecz przeciwnym obyczajem błogosławiając; gdyż na to jesteście wzywani, abyście błogosławieństwo dziedzictwem posiadli. Albowiem kto chce żyć w miłowaniu i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego, i usta jego niech nie mówią zdrady. Niech się oddala od złego, a niech czyni dobre; niech poszuka pokoju, a niechaj go ściga. Albowiem oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy jego ku prośbie ich; lecz twarz Pańska na działające złości. I któż jest, ktoby wam szkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie? Ale i choć co cierpicie dla sprawiedliwości, błogosławieni. A strachu ich nie strachajcie się, ani się trwożcie. Lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

EWANGELJA

u św. Mateusza, rozdział V., w. 20—24.

W on czas: Mówił Jezus uczniom swoim: Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa, niż uczonych i faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa Niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj; ktoby zaś zabił, tego czeka sąd”. A ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; ktoby zaś rzekł bratu swemu „zaką”, tego czeka Najwyższy Trybunał; a ktoby rzekł: „bezbożniku”, tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypominasz sobie, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą, a idź, pojednaj się wpiersz z bratem swoim, a wtedy, wróciwszy się, złóż ofiarę swoją.

Na dzień Nawiedzenia Najśw. Marji Panny.

LEKCJA

z listu Księgi Mądrości, rozdział II., w. 8—14.

Oto ten idzie skacząc po górach, przeskakując pagórki. Podobny jest miły mój sarnie i jelonkowi. Oto ten stoi za ścianą naszą, oglądając przez okna, patrząc przez kraty. Oto miły mój mówi do mnie: Wstań! a spiesz się, przyjaciółko moja, gołębico moja, piękna moja, przyjdź. Bo już zima minęła, deszcz przeszedł i przestał. Kwiatki się ukazały po ziemi naszej; przyszedł czas winnic obcinania, głos bynogarlicy słyszany jest w ziemi naszej; figa wypuściła niedojrzałe figi; winnice kwitnące wydały wonność swoją. Wstań, przyjaciółko moja, piękna moja, a przyjdź! Gołębico moja w rozpadlinach kłanych, w dziurach parkanu, ukaz mi oblicze

twoje, niech zabrmi głos twój w uszach moich! Albowiem głos twój wdzięczny, a oblicze twoje piękne.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział I., w. 39—47.

W on czas: Wybrała się Marja z pośpiechem w podróż, w górystą okolice, do miasta Judy, i weszła do domu Zacharjasza, i pozdrowiła Elżbietę. A gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Marji, poruszyło się dzieciątko w jej łonie. I napełniona jest Elżbieta Duchem Świętym, i zawołała głosem wielkim, mówiąc: Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twego! A skądże mi to, że Matka Pana mego przyszła do mnie? Bo oto za ledwie głos pozdrowienia twego zabrzmiał w uszach moich, poruszyło się z radością dzieciątko w mem łonie. Zaiście błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełni się, co Ci powiedziano od Pana! Marja zaś rzekła:

Uwielbia Pana dusza ma, i w Bogu, mym Zbawicieli, duch mój się raduje.

NAUKA.

Tyle za dni naszych zachodzących, już to skrycie, już jawnie, nieraz nawet z okrucieństwem spełnianych zabójstw, o których się z różnych gazet dowiadujemy, budzi w nas to przekonanie, że albo ludzie dni naszych zapomnieli już całkiem o przykazaniu Boskiem: nie zabijaj!... albo też, że nie sobie z niego nie robią, że nie poczytują go za obowiązujące siebie, ale co najwięcej dawno już pomarłych przodków naszych.

Jak zaś współcześni ludzie nasi mało sobie cenia życie bliźniego, tak też lekceważą sobie własne życie i pozbawiają go się, ściągając na samych siebie zbrodniczą swoją rękę. Bardzo wielu odbiera sobie życie z wszelką obojętnością i z najzimniejszą krwią, a pomiędzy tymi samobójcami można napotkać ludzi młodych i starych, mężów i niewiasty, prostaczków i mędrców, ubogich i bogatych. Smutne te i zatrważające wypadki samobójstw obrzydliwym są piętnem czasu naszego i niemyślnym zarazem objawem chorobliwego stanu duszy, zepsucia i straszliwego upadku ludzkiego.

Zastanawiając się przeto nad dzisiejszą ewangelją św., która dotyka piątego przykazania Boskiego i w zabójstwie nową nam okazuje przeszkodę, nie dozwalającą nam wznieść się do szczytu chrześcijańskiej doskonałości, t. j. do umiłowania Pana z całego serca, z całej duszy naszej, ze wszystkich sił naszych, a bliźniego naszego jak siebie samego, zapytać się musimy, co jest właściwie przyczyną tych tak często za dni naszych ponawiających się samobójstw?

Oto Najmilsi! nie tyle obląkanie umysłu, ile po prostu brak wiary.

Słyszeliśmy, że ktoś, lubo w oczach świata za porządnego uchodził człowieka i powszechnie był szanowanym, skrycie wielkim był zbrodniarzem!

że potem, gdy się o tych jego niegodziwościach dowiedziało, życie sobie odebrał.

Inni znów dopuszczają się samobójstwa, spędzając życie swoje na samej rozpuście, swawoli, rozwiadołości, na samych grach, zabawach i polulankach. Przesycili się już rozkoszami i zbytkami świata tego, uprzykrzyli sobie życie swoje i dla tego powzięli piekielną myśl wydarć go sobie. Z początku myśl ta przesunęła im się tylko przez głowę, potem tam bardziej ich zajmowała, aż nareszcie opanowała ich całkiem, tak, iż niestety w okropny ją czyn zamienili. Bywały przypadki, iż ludzie młodzi, którzy siły zdrowia i życia swojego stargali na nierządzie, wśród szalu zmysłowych swoich uciech i rozkoszy, życie sobie odebrali. I cóż jest powodem tego? Ludzie mówią, że przyczyną tego jest niepowsściągliwość i wyuzdanie, które w kołcu zupełnym wstrętem przejmując człowieka do życia; lecz czy to wielu innych nie postępowało po tej samej, co oni drodze, a jednak do Boga się nawróciło? Skoro przeto ktoś grzeszne swoje życie przepięcował samobójstwem, ten zaiste nie miał wiary; ten przestał już wierzyć w Boga, w żywot wieczny, w cnotę i występki i w odpowiednią do tego zapłatę wieczną; inaczej bowiem nie przenosiłby się do wieczności i przez samobójstwo nie skazywałby samego siebie na wieczne męki. Tak więc jedynie niedowiarstwo jego jest przyczyną samobójstwa.

Inni znów odbierają sobie życie, nie mogąc osiągnąć celu pychy swojej i wyniosłości, albo nie mając dosyć odwagi do cierpliwego zniesienia długiej i dolegliwej swojej choroby; albo też widząc się zawiedzionymi w swoich rachubach i próżnych nadziejach i uczuwając to zbyt tkliwie, że im się nie będzie wiedzie. Wszystkie to dreczy ich i niepokoji, zniecierpliwia do życia, napełnia zwątpieniem, rozpaczą i popycha ich do samobójstwa. Świat wypadek podobny tłumaczy sobie tem, że namiętność, smutek, zniepokojenie przywiodły ludzi tych do tej okropnej ostateczności: lecz czy podobna, aby człowiek, który wierzy w żywot wieczny, pozagrobowy, który wierzy w dobroć i miłosierdzie Boga, który wierzy, że nie masz w ogóle na świecie niczego i niedoli takiej, którejbyśmy w poglądzie na Opatrzność Boga nie mieli znieść cierpliwie, aby człowiek taki mógł tak dalece oddać się rozpaczce z powodu doznanych zawodów i poniesionych, czy słusznie, czy niesłusznie, klęsk i niepowodzeń swoich, iżby życie sobie odbierał? Czy podobna, aby człowiek taki mógł chcieć przez samobójstwo zwolnić się chociażby od największych ucisków i katuszy doczesnych, a więc zawsze przemijających i kończących się; a czynem swoim stracił się właśnie w odmet wiecznej niedoli i samego siebie podawał na wieczne potępienie? O! z pewnością nie. Najmilsi! i dla tego bądźcie przekonani, że samobójca dawno już wyrzucił się z wszelkich uczuć wiary, inaczej bowiem nie byłby się nigdy zbrodni tej dopuścił.

Wspomnijcie sobie zawsze na tę stanowczą chwilę strasliwej przepawy z życia tego w ona wieczność, gdzie samobójca czeka sąd doraźny Boga. Cóż powiesz wtedy Najwyższemu Sędziemu, gdy zażąda od ciebie liczby z włodarstwa twojego? Nieszczęsny, gdzie znajdziesz tego sprawiedliwego, któryby ci powiedział, żeś już dosyć żył na świecie? Popatrz na niego i ucz się, jak to trzeba spędzać życie, aby nabrać prawa do przejścia z tego żywota do wieczności... Życie jest złem dla szczęśliwego niegodziwca, ale jest dobrem zawsze dla nieszczęśliwego sprawiedliwego, który umie się

zastosować do każdego położenia i z niego odnieść korzyści dla duszy swojej. Życie więc ludzkie to kwiat, z którego, podczas gdy pszczoła zbiera miod, pająk ssa truciznę. Czem jest chociażby najdłuższe życie doczesne dla nieśmiertelnej istoty? Lata nasze szybko płyną, jak potoki młyna, a w nich jak cień przemija i rozkosz i niedola i smutek i wesele. I krótkie to życie przemineloby ci daremnie, gdybyś nie odznaczył go jakąśadź zasługą i gdybyś przynajmniej nie miał unieść nadać mu wyższej wartości i znaczenia. Tylko dobre twoje uczynki pozostaną na wieki i pójdą za tobą poza grób twój do wieczności.

Samobójstwo, Najmilsi! to śmierć ohydna, sromotna; samobójca to podły zbieg z pod sztandaru ludzkości, to nieuczynny złodziej, co okradł swoich bez sromu i potem uciekł z tego padofu pracy, wysługi i doświadczenia. Mogła jego dawniej na rozdrożu kamieni przywalona, albo suchymi gąziami pokryta, dziś po za obrębem cementarza, smutne we dniu budzi wspomnienie, a w nocy staje się powodem ludzkiego strachu i przerażenia. Dusza samobójcy, to dusza potępieńca stracona w bezdenną otchłań piekła!

O zachowajże, Panie, Jezu, każdego człowieka od samej nawet bezbożnej myśli strasliwego samobójstwa. Amen.

SĄD BOŻY.

Na początku czerwca roku 1502 zbliżał się Kolumb z czterema małymi statkami do portu wyspy św. Dominika w Ameryce. Była to czwarta i ostatnia podróż, jakiej bohater się podjął do nowej części świata. Zgryzość, zmartwienie i nadludzkie wysiłki obraly postać tego wspaniałego męża prawie zupełnie z dawniejszego majestatu, lecz miasto zżymać nieugięty wole jego, uczyniły ją jeszcze silniejszą. Z ócz sędziwego starca biła taka ufnosć i wiara w Boga i Jego pomoc, iż w każdym głęboki szacunek wzbudzały.

Zamyślony stał Kolumb na pokładzie i spoglądał na piękną wyspę, do której statki jego bieg swój skierowały. Przypomniawszy sobie, gdy ostatni raz kraj ten opuszczać musiał — w kajdanach. Bobidila, — śmiertelny wróg jego, wrócił z zwoleńnikami swoimi z Hiszpanji, gdzie poprzednio słabego, chwiejnego i krótkowidzącego króla był okłamał i nakłonił do sunięcia Kolumba ze stanowiska namiestnika wyspy, św. Dominika. Słaby monarcha zamianował w miejsce wielkiego Kolumba namiestnikiem Bobidilę, aczkolwiek tenże wcale a wcale nie znał się ani na marynarstwie, ani na administracji. Za to tem lepiej umiał klamać, oczernić i bezsumienne pieniądze i skarby zagrabac.

Kolumba usunęto bez przyczyny, bez dowodów, li tylko na mocy posądzenia, oszczerstw i kłamstw. Bobidil i jego zwolenników. Bobidila otrzymał ponadto od króla pewną ilość niezapisanych dokumentów, zaopatrzonych naprzód w podpis królewski tym sposobem Bobidila mógł wszelkie możliwe rozkazy, na dokumentach wypisywać i ogłaszać jako królewskie orędzia! Kolumb sobie teraz przypomina, jak szorstko i znieważająco Bobidila się z nim był obszedł, jakoby Kolumb był jego najniższym sługą! Przypomina sobie żywo, jak ten kłamca własnego króla swego oszukał, jego samego zdrajcą nazwał i w kajdany jak ostatniego zbrodniarza okuczał.

W obec tego Kolumb dłużej opanować się nie mogąc, podniósł rękę jakby do świętej przysięgi

„Pan nad burzami i morzami jest mi światkiem, rzekł, że nigdy w życiu mojem nie dążyłem do niczego innego, jak do powiększenia chwały Jego i że nigdy nie byłem zdrajcą mojego króla; niech On nas sędzi!“

Bobidila rozśmiał się szyderczo i rzekł:

„Ja jestem chwilowo panem nad burzami i morzami, ja namiestnik Zachodnich Indyj; więc jestem też i twoim sędzią!“

Kolumb poszedł spokojny i cierpliwy jak baranek do więzienia i nosił bez narzekania najpodlejsze poniżenie. Po długich cierpieniach zaprowadzono go skulego w kajdany na statek i odstawiono do Hiszpanji jako podłego zbrodniarza. Szlachetna królowa starała się pierwsza wynagrodzić Kolumbowi ciężkie krzywdy. Król zwołał wprawdzie Bobidilę, z zajmowanej godności namiestnika Zachodnich Indyj, ale umiał mu ostudzić tę gorzką pigułkę najzupełniej, bo nie zamianował, jak się tego wszyscy spodziewali, Kolumba prawowitym namiestnikiem Nowego Świata, lecz Owandona, człowieka, który Kolumbem pogardzał i to głównie z tego powodu, ponieważ Kolumb nie był rodowitym Hiszpanem! Bobidila przebywał tymczasem nadal w Ameryce i nie spieszył się wcale z powrotem do Hiszpanji; obawy, przed królem nie miał, owszem żywił nadzieję, że kłamstwem siebie uniewinni a Kolumba powtórnie oczernić mu się uda.

Kolumb zastanawiał się głęboko nad tem wszystkiem w obecnej chwili, gdy statek jego powolnie, zbliżał się do lądu. Obawiał się nowych knołów i podstępów Owandona i Bobidili.

Milcząc usiadł u steru, złożył ręce i zatopił się w gorącej modlitwie.

Blżej i bliżej przysuwał się statek do lądu. Błękitne góry wznosiły się wzdłuż ciemnozielonych wybrzeży; cieniste pasy lasów uwidoczniły się coraz wyraźniej; widać już było pojedyncze drzewa olbrzymich kształtów, kołyszące się nad wybrzeżem. Nagle pokazała się łódka na la'ach. Dwaj mężowie w łódce powiewali białą chorągiewką na znak, że chcą być przyjęci na pokład. Wzięto ich na statek. Wtedy wręczyli pismo namiestnika Owandona. Kolumb oderwał pieczęć, przeczytał list i zbladł jak ściana.

„Czy to jest prawda?“ zapytał, spoglądając bledawym okiem na wysłańców.

Milcząc posłańcy wskazali na wielką pieczęć, uwieszoną u pisma.

„Niech się dzieje wola Boska!“ westchnął sędziwy Kolumb.

Wysłańcy pożegnawszy się, zeszli do łódki i odплыli do portu, z którego przybyli. Kolumb rozkazał nawrócić statek na pełne morze.

„Jak to admirałe?“ zapytał zdziwiony steruk.

„Rozkazałem statek nawrócić“, odpowiedział Kolumb.

„Czy żartujesz, Krzysztofie?“ zapytał z uśmiechem nieustraszony Bartłomiej, brat Kolumba; „czy chcesz wracać do Hiszpanji, nie stanawszy nogą na ziemi Nowego Świata?“

„Patrz i czytaj!“ rzekł Kolumb ponuro.

Bartłomiej wziął list i dowiedział się z niego, że Owando, jako namiestnik, zabronił w imieniu króla Kolumbowi wylądować, a na przypadek, gdyby sędziwy bohater wbrew temu zakazowi samowolnie — chciał zawinąć do portu, odgrażał się, że natychmiast statek jego działami ostrzeliwać będzie. Bartłomiej, osłupiał z powodu niesłychanej tej niesprawiedliwości i nie rzekł słowa.

„To Bobidila sprawił“, odezwał się cichym głosem Kolumb; „on żywi śmiertelną nienawiść do mnie i nie przebiera w środkach, aby mnie zniszczyć.“

Odplynąwszy nieco w bok, zarzucił kotwicę; statek zatrzymał się na otwartym morzu. Z pokładu wdzili port, uprzągnięty cel bardzo długiej i strasznej podróży morskiej, widzieli powiewające w powietrzu chorągwie, bandery i żagle hiszpańskich okrętów, lecz zbliżyć się do nich nie mogli.

Niedługo potem rozległ się huk wysirzatorów armatnich i flota, składająca się z sześciu statków wypłynęła dumnie i okazała z portu.

„Co to znaczy?“ zapytał Bartłomiej; czy nas chcą wziąć w niewolę?

„Mylisz się“, odpowiedział Kolumb, „gdyby to zamierzali, byliby nas wpuścili do portu.“

Flota się szybko zbliżała; z największego statku powiewała bandera admirałska. Statki podjechały już tak, że było można rozpoznać już ludzi na pokładzie a niedługo potem przepływały olbrzymie łodzie tuż obok statku Kolumba. Był to Bobidila z swoimi towarzyszami; wracali do Hiszpanji. Stojąc w szeregach na pokładzie, zegnali szyderczo Kolumba.

„Witaj, szlachetny bohaterze, w Nowym Świecie!“ zawołał jeden z majtków.

„Wyląduj w twoim kraju, namiestniku króla, — zdrajco!“ krzyczał sam Bobidila.

Rozległ się śmiech; szydercy trzęśli się z radości nad nieszczęściem sędziwego bohatera, pijani majtkowie tańczyli na pokładzie, śpiewali, krzyczeli i wyli. Prawie wszyscy byli już ciężko karani za zbrodnie.

Ludzie Kolumba chcieli się odplacić pięknem za nadobne, lecz Kolumb im tego ostro zakazał.

„Ażali Dawid nie milczał gdy go Semei lażył, iż nie miał w własnej stolicy przytulku?“ rzekł z godnością i spokojem sędziwy bohater.

„Te słowa rozwieje wiatr i one zginą jak bałwany na morzu; ale jest Jeden, Który sędzi; a On rzekł...“

„Szczęśliwej podróży, zdrajco, a szczęśliwszego wylądowania, nabożny święty!“ zakrzyknął po raz drugi Bobidila.

„A On rzekł“, ciągnął Kolumb dalej: „Do mnie należy zemsta!“ „Jemu jedynie ufam i w Jego ręce oddaję moją sprawę.“

Potem się odwrócił spokojnie i rozkazał sternikowi, aby skierował statek bardziej na północ, gdyż powojający wiatr był dogodny.

„Szczęśliwej podróży, szczęśliwego wylądowania!“ odezwał się jeszcze raz szyderczy głos z okrętu Bobidili, który płynął na zachód i powoli w oddali znikał.

„Cóż nam wypada czynić?“ zapytał Bartłomiej; „ludzie domagają się wylądowania i żądają słusznie wy-poczynku.“

„Pojeździemy dalej wzdłuż wybrzeża, odpowiedział Kolumb; „niema wątpliwości, iż nawet znajdźmy inny port, do którego się schronimy, a Bóg wszystko na dobre przemieni; być może, iż odkryjemy „Kraj złota“, o którym Indjanie opowiadali.“

Na to się majtkowie zgodzili, bo wierzyli nie-złomnie słowom Kolumba.

Statek posuwał się naprzód, prędzej i prędzej, przując wody niezmiernej przestrzeni morskiej i płynął stale na północny wschód, zawsze w kilkumilowym oddaleniu od statku lądu.

„Byłoby dobrze, gdybyśmy dobili do lądu, bo się zanosi na burzę“, rzekł Bartłomiej, wchodząc do kajuty Kolumba.